

## JERZY SKARŻYŃSKI

ur. 1921; Uchanie



Miejsce i czas wydarzeń	Dęblin, II wojna światowa
Słowa kluczowe	Uchanie, Chełm, Dęblin, Warszawa, II wojna światowa, okupacja niemiecka, ojciec, Aleksander Skarżyński, Niemcy, ucieczka z Uchań, droga do Warszawy, zatrzymanie przez Niemców, brat, Ryszard Skarżyński

### Ucieczka z Uchań w styczniu 1943 roku

I tak pracowaliśmy aż do dnia 13 stycznia [19]43 roku. Ostra zima, mróz diabelny. Puka rano do drzwi naszych ktoś, ojciec wychodzi, a to sołtys mówi: „Panie doktorze, wszyscy mają wychodzić z domu do kościoła. Zabrać węzłki popod rękę tylko, wszyscy bez wyjątku, mężczyźni, kobiety i dzieci, w kościele zbiórka. Do dwunastej mają zejść. Ale pan ma zostać, bo potrzebny jest lekarz”. No i poszedł dalej. I wtedy w domu narada, co to oznacza. Ja mam lat osiemnaście skończone, to co będą mnie traktowali jak dziecko? Mówię: „Trzeba uciekać”. I nic się nie namyślałam, bo wcześniej wieczór się robi, kiedy jeszcze świtu nie było, poleciałem do Raciszewskich do majątku, kiedyś w młodości bawiliśmy się razem. Poprosiłem o konie do Wojśławic, żeby nas odwieźli do Wojśławic i do Chełma na pociąg. Moja dziewczyna miała matkę, brata, siostrzeńca ośmioletniego i ja miałem brata, tyle osób trzeba było zabrać na tę sanę. Zdecydowałem się. Posłuchali mnie, pani Raciszewska tylko do Wojśławic konie dała, bała się dalej konie dawać. Dojechałem z nimi do Wojśławic. A uciekaliśmy dokąd? Mieliśmy cel. Ojciec mojej dziewczyny siedział akurat w Wołominie u swojego syna, który tam mieszkał i do niego mieliśmy dojechać. Do Łochowa konkretnie. W Wojśławicach, niestety, furman się żegna. Ale byli tam państwo, którzy byli w Uchaniach, mieszkali prawie vis-à-vis nas, z drugiej strony tego zajazdu, jak ja to nazywałem, Miadinów. On był kowalem, bardzo kulturalny pan. I ja, nie wiedząc co dalej, przypomniałem sobie o nich. Wpadłem do nich, a pan ten mówi: „Zaraz syn zaprzęg konny postawi wam do dyspozycji, zawiezie was do Chełma”. No i rzeczywiście jedziemy do tego Chełma. Wykupuję bilety, siadamy do pociągu i w tym momencie dzieje się taka scena. Matka mojej dziewczyny, dziewczyna, ten mały siadają koło niej, siada mój brat, siada Piotrek, brat dziewczyny. I taki mały chłopiec podbiega, pod nogi im zagłąda, bo tam była luka, szuka, domyśliliśmy się błyskawicznie, szmuglowanego towaru: kiełbasy, tytoniu, czy

czegoś. I ten chłopak siedzącą obok dziewczynę obcą kopie nogą, bo ona nie chce mu nogi ustąpić. I ja biorę za jego kołnierz, a on krzyczy: „Panie Krawiec! Panie Krawiec!”. Pociąg rusza, a wagon miał takie stopnie, drzwi się rozsuwają, na stopniach żandarm. Pistolet i „Man raus!”. No krzyczy do mnie. No co mam robić? Nie posłucham, to strzeli, trafi mnie, jestem trup. Wyskakuję. Oni odjeżdżają, ten gówniarz ucieka, a żandarm powoli „Marsz!”. Idę i czuję lufę. Oho, myślę sobie, strzeli mi w łeb i tu zostanę, ci pojedają. No ale idziemy. Pytam dokąd, na dworzec mi pokazuje. Przeprowadza mnie na dworzec w Dęblinie, bo zatrzymał się pociąg w Dęblinie. Ja stoję, podstawiony pod drzwi wyjściowe z dworca, trwa przeszukanie wszystkich, których wyrzucili z pociągu, i wertowanie bagażu. I ja tak patrzę, żołnierz stoi, tu są drzwi, mogę prysnąć, no ale mówię: „Synu, przecież nie znasz Dęblina. Wskoczysz akurat w szwabskie łapy”. Decyzja bardzo trudna, życiowa. I muszę to powiedzieć, po prostu dla nauki, dla prawdy historycznej – stoję, a mocz mi tak kap, kap, kap, kap. Raz w życiu przeżyłem takie uczucie. Cóż to za uczucie, strachu? Nie. Uczucie bezsily. Bezsily, że nie wiadomo za co, po co, na co ja stoję tu i nie wiem, co ze mną będzie, co mnie czeka. Lufę czułem już na karku. Przewalili ten pociąg, przewertowali, postawili koło mnie kobietę, postawili mężczyznę. I teraz wychodzi żandarm i prowadzi nas, dwóch żandarmów, przez tory kolejowe, na drugą stronę dworca. Opowiadam to w szczegółach, bo chyba warto. Ja patrzę, las. Jak las jest, to mówię: „O, synu, uważaj. W lesie jest trudno strzelać, to tutaj możesz prysnąć. I na pewno uciekasz na wioskę jakąś gdzieś. Ale czekaj, od razu nie, naprzód wzrok wysił”. Idziemy, idziemy, w pewnym momencie jakieś baraki widzę gdzieś między drzewami. „O, mówię, poczekaj, poczekaj chwilę, może będzie coś”. Dochodzimy, a tam żandarmi właśnie w tych barakach mieszkają. I patrzą przez okno i coś po szwabsku plują tam na nas, na tę czwórkę. Wprowadzają nas do tak zwanej szrajbsztube, myśmy to nazywali srajsztube w skrócie. I zaczyna się. Stoi ich dwóch, jeden ma pejcz, taki bykowiec, cieniutki, prężny. A drugi taki gumowy kawał kabla. I do tej kobity. A ona kiełbasy wiezie, płacze i mówi: „W ciąży jestem”. Odpina się, pokazuje. „Dziecko będę miała, muszę to dziecko utrzymać, dlatego muszę przewozić”. No to zabrali jej wszystko, co miała, kiełbasę, przeszukali i mówi jeden: „Matka, raus!”. Ta z płaczem wyszła. A teraz do tego człowieka. Niskiego wzrostu chłopak, no ale wystraszony, widzę, jeden trzyma pantofel damski ze skóry jaszczura i pyta się po niemiecku, gdzie drugi pantofel? I ten się jąka, a ten go po plecach. No i niewiele się namyślają, tylko kładą go na stołek i zaczynają go bić. Jeden, na zmianę drugi. On się rzuca na tym stołku, a mnie podstawia i kracze mi po niemiecku trzymać go za głowę. A ja mówię: „nein”. I ten mnie po twarzy, buch. Ale nie upadłem, bokserem on nie był. Jak bym mu oddał, to on by leżał, bo ja byłem bokserem. Jak już stłukli go dobrze, już nie będę tego opisywał, kazali mu wstać, zrewidowali go, zabrali mu wszystkie dokumenty, co miał, pieniądze. I mówią tak: „Jedziesz do twojej Warszawy, jutro masz tu przyjechać i przywieźć ten drugi pantofel. Jak nie przyjedziesz, to ain telefon i tam ciebie rozstrzelają. W Warszawie”. No i ten

zasmarkany cały, bo to tam tak chlipał po cichu, wychodzi z tej srajsztube. A teraz ten o but pejczem bije i do mnie. A ja mówię: „Chwileczkę, jestem urzędnikiem, pracuję w Urzędzie Gospodarki Wodnej, zimą mam urlopy i dlatego jadę na urlop teraz, wykorzystać – i mówię – proszę moje papiery”. Te dokumenty mam do dziś, wydrukowane, powielone. Mam wszystkie od urodzenia metryki, mam wszystkie moje dokumenty. Gdziekolwiek byłem, w jakimkolwiek stanie i pozycji, to ja mam wszystkie dokumenty. No i ten bierze, czyta, z drugim coś szepczą i do mnie: „Jest pan wolny”. Pan już do mnie, a nie ty. Czapkę miałem na podłodze, wziąłem czapkę na łeb i chodu. Wychodzę w ten las, z powrotem w kierunku dworca i dziwna rzecz – teraz mi łzy kapią same, płyną mi łzy z oczu. I nie wiem czemu, bo nie mam drgawek, nie czuję żalu, nie mam o co właściwie, a łzy mi płyną z oczu. Przychodzę na dworzec, do tego bufetu. Patrzę, a jest ten nieborak, któremu stłukli tak tyłek strasznie. I on mówi: „Panie, postawię panu setkę samogonu, boś pan nie trzymał mnie”. Ja mówię: „Panie, a pan myślał, że będę trzymał? Co pan”. Rzeczywiście, setkę wypilem z nim. „I co robimy?”. Ja mówię: „Uciekamy stąd. Idziemy”. „Gdzie?”. Cztery kilometry dalej jest stacja następna. Już do dzisiaj zapomniałem, jak ona się nazywa. Wychodzimy, a idzie ta dziewczyna, która siedziała w wagonie wtedy, co kopnął ją ten chłopak. Idzie z tego kierunku, patrzy na mnie i mówi: „Gdzie Pan idzie?”. Ja mówię, opowiadam jej. Ona mówi: „Ja idę pana ratować. Ja jestem Ukrainką, to ja panu pomogę”. Mówię: „Dziękuję, już pani nie musi ratować”. Idziemy razem. No idzie z nami razem, kołdrę taką grubą miała jeszcze, niosę jej. Przychodzimy na tę stację cztery kilometry od Dębłina, ciemno już w poczekalni. Wchodzimy, multum ludzi, patrzę, stoi mój brat tam. Co się okazało – jak mnie zabrali, to zabrali i brata. Ja myślałem, że brat pojechał. Tymczasem brata wzięli i Piotrka wzięli, brata mojej dziewczyny, na komisariat żandarmerii na dworcu. I oni opowiadają, siedzą tam, ale Piotrek pracował w Warszawie, był specjalistą od maszyn do pisania, naprawiał. I wołali ten jego warsztat na przykład do elektrowni warszawskiej. I on będąc w elektrowni tam, zobaczył na biurku przepustki SS, ukradł taką przepustkę i schował. I teraz na tym posterunku on mówi, że on tu nie może być, bo on musi pracować. Gdzie? Pokazuje tę przepustkę. No to mówią: „To uciekaj na pociąg”. A on mówi: „Ale ja mam tutaj brata młodszego”. „Gdzie ten brat jest?”. Wołają mojego brata, a brat wysoki, wyższy ode mnie i mówi: „Co, ile on ma lat?”, „Szesnaści. Panie oficerze, ja tu mam taką jeszcze legitymację”. Wyjął bardzo ładną srebrną papierośnicę i mówi: „Pan weźmie na pamiątkę, że pan puści tego chłopaka ze mną”. Obejrzał: „Gut, raus”, wypuścił ich. W taki sposób znaleźliśmy się razem na tej stacji za Dęblinem cztery kilometry i jedziemy do Warszawy. Ja nic Warszawy nie znam, bo ja stary lwowiak. Brat mój wychowanek jeszcze podstawowej szkoły tej uchańskiej, w gimnazjum nie był, bo wojna wybuchła. Ale Piotrek zna Warszawę, mówi: „Wysiadamy w Falenicy, bo jak dojedziemy do dworca głównego, to znowu będą nas legitymować i diabli wiedzą co. W Falenicy wysiadamy i jedziemy czymś tam dalej”. I nie wiem czym, zawiózł nas na Chmielną do swojej znajomej, tam dopierośmy się

umyli, usiedli, wypoczęli i teraz zaczęło się inne życie.

<b>Data i miejsce nagrania</b>	2016-06-09, Warszawa
<b>Rozmawiał/a</b>	Wioletta Wejman
<b>Redakcja</b>	Justyna Molik
<b>Prawa</b>	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"